XXIII. Kraków, 1 września 1920 r. Nr. 17.

# „BOCIAN“

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przes. poczt. 34 M. 20 f. Do Ameryki rocznie 6 dolarów.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). Telefon Nr. 479

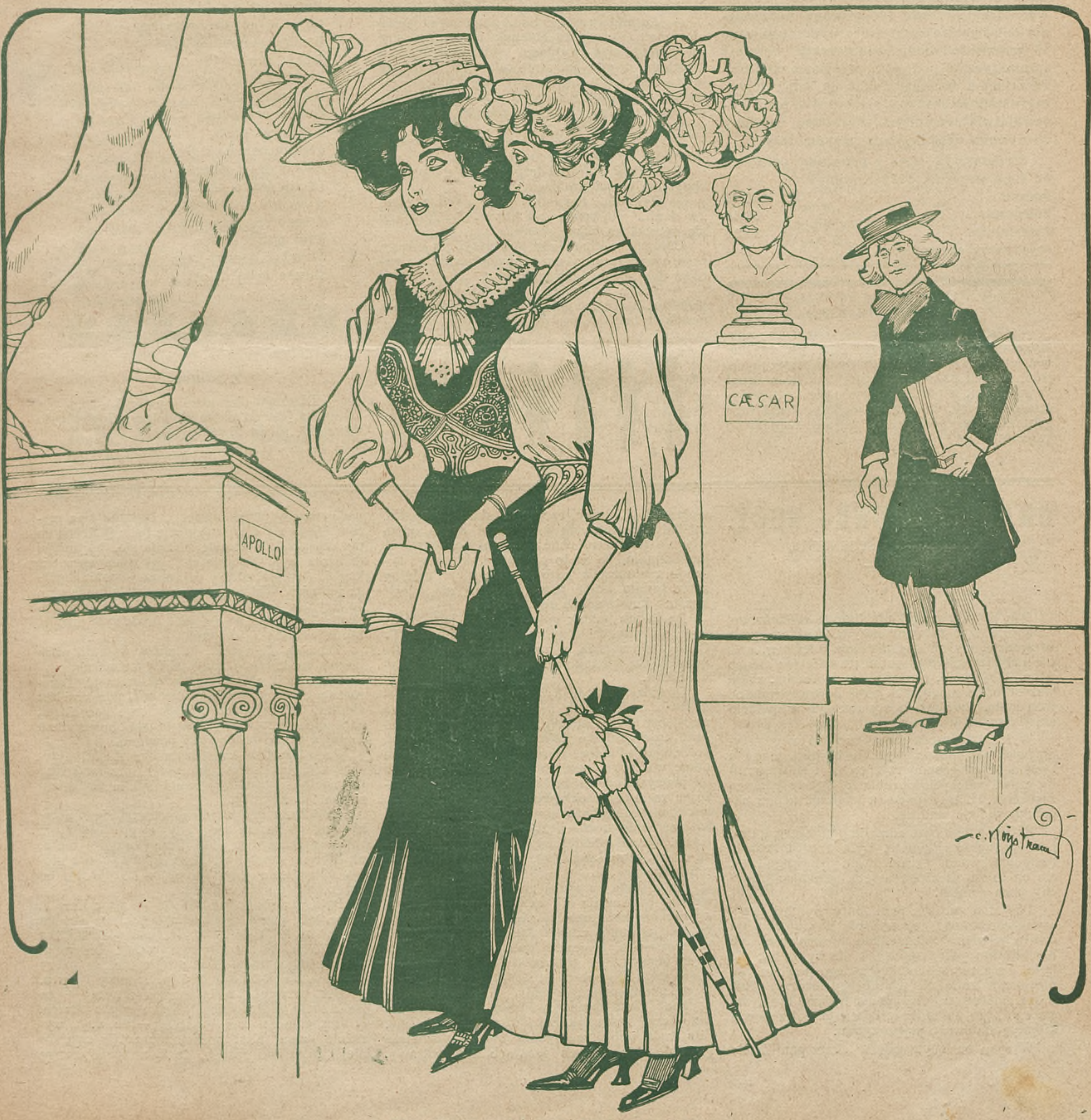
Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień“, Łódź, Piotrkowska 81.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na stronie inseratowej M. 2·—, na miejscu specyalnie zastrzeżonem M. 3, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy M. 4·—, za wiersz petitowy w części redakcyjnej M. 12.

Numer pojedynczy 6 Marek. Redaktor: K. Krumlowski. Numer pojedynczy 6 Marek.




**Na wystawie sztuk pięknych:**

— Wspaniała rzeźba ten Apollo! Ale zdaje mi się, że nogi trochę wyidealizowane... Te łydki są nieprawdopodobne!...

## Od Administracyi.



Z powodu nowej podwyżki cen papieru, wynoszącej przeszło 100 procent, podniesienia opłat pocztowych, które wynoszą obecnie 15 procent od ceny prenumeraty, wreszcie automatycznej podwyżki płac personalu drukarskiego i rosnącej z dnia na dzień drożyzny wszelkich środków niezbędnych przy wydawnictwie czasopisma znie woleni jesteśmy do nowego uregulowania prenumeraty.

Prenumerata wraz z przesyłką pocztową od 1-go września 1920 r. wynosi:

| | |
|---|---|
| Rocznie | Mk. 136 80 |
| Półrocznie | „ 68·40 |
| Kwartalnie | „ 34·20 |
| Pojedynczy egzemplarz | „ 6·— |

### Przekonała się!

— Tak!... Przekonałam się sama, że mężczyznom wierzyć nie można! Zwodzą nas nawet ich nazwiska!... Miałam dwu narzeczonych, jeden z nich nazywał się Stojałowski, a drugi Twardowski, a potem pokazało się, gdy przyszło do rzeczy, że obaj są niedołęgi ostatniego gatunku i szkoda tylko, że się plątają po świecie!

## Zawsze jednaki.

Pan profesor, nie mając we wakacye zadań do poprawiania, był niepocieszony!... Poprawiał zatem błędy w gazetach, korygował ogłoszenia na rogu ulic, aby tylko nie wyjść z wprawy.

Raz, siedząc w swem mieszkaniu na trzeciem piętrze, słyszy, jak na podwórzu woła chłopak:

— Wągle drzewne!...

Wychyla się zatem z okna i wzywa go na górę, chłopiec pewny, że towaru się pozbędzie, spieszy, ile sił ma w nogach.

Jakież jednak było jego zdziwienie, a nawet oburzenie, gdy pan profesor zamiast dać utargować, zwrócił jeszcze jego uwagę, że nie powinno się mówić „wągle“, lecz „węgle“. Dał tem upust swej pasyi.

— To ja po próżnicy gnałem bez tyle schodów...

— Nie „bez tyle schodów“, ale „przez tyle schodów“, kochanku. Na to zwraca Małecki uwagę w swej gramatyce. Zapomniałem, który rozdział, ale zaraz znajdę!...

I zwrócił się ku szafie z książkami.

— Co mi tam pan takiemi głupstwami głowę zawraca!... — odparł chłopak i, nie czekając na dalszy ciąg wykładu, skierował się ku drzwiom, a gdy już był koło nich i czuł się bezpieczny, aby dać upust swej irytacyi, zatrzymał się jeszcze i zrobił panu profesorowi pewną propozycyę, mającą związek z całowaniem, ale nie głowy, ani ręki...

Wyrzuciwszy ze siebie złość, trzasnął drzwiami i zbiegł po schodach.

Był już w połowie drogi, gdy z góry doleciały doń słowa profesora:

— Synku!... Nie mówi się, „w d..e“, ale „w d..ę!...“ Na końcu jest litera „ę“... Powinno się uważać na każde słowo!

Chłopak w odpowiedzi powtórzył raz jeszcze propozycyę, teraz już zupełnie poprawnie, akcentując dobitnie końcową literę „ę“...

— Tak!... to lubię!... — rzekł zadowolony profesor, wracając do mieszkania. Nauka nie poszła w las!





## Sielanka.

W lasku obok Woli,
Dziewczę w trawie leży,
Ma włos rozczuchrany,
Buziak niezbyt świeży.
Przybliża się do niej
Chłopiec miły młody:
Sznaps mu na czerwono
Ustroił jagody.
A wzrok w tak ponurych
Świeci mu płomykach,
Żebym się z nim nie chciał
Spotkać na Dębnikach....
Przybliżył się do niej,
Objął w pół dziewczątko,
U nóg tajemnicze
Złożył zawiniątko
I wydobył z niego
Dla lubej istoty
Cztery branzolety
I zegarek złoty.
Piękna dama na to
Patrzy się z ukosa,
(Miała jedno oko,
A on nie miał nosa).
Z tego się jednakże
Taki morał kleci:
Że z tak zacnej pary
Śliczne będą dzieci!



### Z zoologii.

— Dlaczego pies kiwa ogonem?

— Bo jest od niego silniejszy. Gdyby było odwrotnie, ogon kiwałby psem!...

# DRAMAT JEDNEJ NOCY.

(POSEZONOWE WSPOMNIENIE)

Pan Karol i pani Ziuta było to małżeństwo, mogące służyć za wzór innym. Żyli ze sobą w zgodzie, kochali się, jak para gołąbków, a że nie dały im niebiosa potomstwa, to już nie ich wina. Obydwoje, przyznać im to trzeba, robili wszystko, co mogli, ale jakoś bocian stronił od nich stale, choć już szósty rok żyli w małżeńskiej wspólności.

W każdym razie panu Karolowi winy przypisywać nie można, był on bowiem z rzędu tych dobrych gospodarzy, co to i swój grunt na czas i należycie obrobią i chętnie pomogą sąsiadowi. Z tego powodu miał też u płci nadobnej wielkie wzięcie.

Raczej winne było zdrowie pani Ziuty, która, jako postępowa kobieta, była i niedokrewna i zdenerwowana. Tyranizowała też swego Lola, ale on to znosił z poddaniem, szukając pociechy poza domem.

Ten stan zdrowia pani Ziuty był też przyczyną corocznego jej wyjazdu do kąpiel i na świeże powietrze. Zmieniała miejscowości, ale bez skutku, polepszenia jak nie było, tak nie było, najprawdopodobniej z tego powodu, że nie mogła trafić na właściwego lekarza. Pan Karol zgadzał się chętnie na wyjazd żony, bo stać go było na to, zresztą i sam potrzebował kilkutygodniowego wypoczynku.

W roku bieżącym zalecił lekarz pani Ziucie wyjazd do Krynicy, ręcząc za skutek, pan Karol dał swą aprobatę i wystarał się o odpowiednie fundusze, choć zaczynał dochodzić do przekonania, że za te pieniądze, które go kosztuje restauracya zdrowia połowicy, mógłby sobie śmiało kupić nową, mogącą się obejść bez tak kosztownych reperacyi.

Do jakich jednak poświęceń nie jest zdolny mąż, o ile chodzi o zdrowie kochającej żony!... Cieszył się zresztą na samą myśl, jak przyjemnie spędzi w Krakowie czasy słomianego wdowieństwa.

Odwiózł żonę do Krynicy, ulokował w jednym z najlepszych pensyonatów, radził jak najwięcej łykać świeżego powietrza i wprowadzać do organizmu żelaza, wreszcie odjechał, polecając ją opiece Boskiej i lekarskiej. Nie obiecywał zbyt częstych odwiedzin ze względu na niewygody podróży i ogromne koszty, w każdym razie przyrzekł „wpaść“ do Krynicy, o ile mu czas pozwoli, zwłaszcza że „wpadła mu“ równocześnie w oko pokojówka w pensyonacie, Kasia, był zaś zdeklarowanym ludowcem z obozu raczej Stojałowskiego, niż Witosa lub Stapińskiego.

Kasia była w samej rzeczy dorodną dziewuchą, prowadziła się bardzo skromnie, pensyonarkom konkurencyi nie robiąc, zwłaszcza że nad jej cnotą czuwał Anioł Stróż w postaci narzeczonego, Wojtusia, pełniącego w tym samym pensyonacie obowiązki służącego. Po sezonie mieli się pobrać i otworzyć sobie sklepik w rodzinnej miejscowości.

Pani Ziuta przeprowadzała bardzo pilnie przepisaną przez lekarza kuracyę, kąpała się, piła wodę żelazistą, łykała świeże powietrze (w daleko obfitszych porcyach, niż potrawy, podawane w pensyonacie...), tęskniła i za mężem, pisywała doń codziennie listy (których on nie czytywał...), zresztą nudziła się, bo ani jej to przez myśl nie przeszło, aby sobie wynaleźć kogoś, kto potrafiłby jej uprzyjemnić chwile samotności. Widocznie nie wiedziała biedaczka, że Krynica skutkuje o tyle, o ile się przeprowadza kuracyę „we dwoje“. A nie było nikogo, kto pouczyłby ją o tem!

Zanosiło się zatem, iż znów wydatki pana Karola na kuracyę żony pójdą na marne.

Przypadek zrządził przecież inaczej! Tegoroczny pobyt w Krynicy nie miał pozostać bez skutku, a przyczynił się do tego pan Karol, choć nie bezpośrednio, jak to jest obowiązkiem męża, a przynajmniej być powinno.

Panu Karolowi zaprószyła oko Kasia, wcześniej też, niż sobie obiecywał, przerwał swe wakacyjne wywczasy i kominiarskim pociągiem zjechał do Krynisy.

Pani Ziuta ogromnie się ucieszyła jego przybyciem, zwłaszcza zaś, gdy jej powiedział, iż zostanie przez dwa dni. Brakowało jej męża, na którego mogłaby gderać i suszyć mu głowę, obiecywała więc sobie, że odrobi to, co przez parę dni zaniedbała.

Pożałowania godny był też los pana Karola. Przez cały pierwszy dzień pobytu, nie puściła go ani na krok od siebie, a choć widział kilka razy Kasię, to mu nie wystarczało. On chciał sobie z nią porozmawiać swobodnie, w cztery oczy, chciał poznać tajniki jej... duszy i serca.

Był przecież na tyle niezręcznym — co się zresztą mężczyznom bardzo często zdarza, w szczególności zaś żonatym — że zbyt wyraźnie dawał Kasi poznać sympatyę swą ku niej i to w taki sposób, że to zwróciło uwagę

### Rozdział od stołu i łoża.

Do biura jednego z krakowskich adwokatów zgłasza się klient z klasy robotniczej z prośbą o wniesienie w jego imieniu skargi o rozdział od stołu i łoża...

— O stół panie mecenasie — mówił — nie tyle mi idzie, co o łoże!

— Jakiż powód?... — bada adwokat.

— Pluskwy!...

— Co?... Pluskwy?... Tego nie rozumiem!...

— Tak panie mecenasie!... Mamy jedno wspólne łóżko i w niem są pluskwy!... Gdy wieczorem wrócę zmęczony z pracy, z początku żona spać mi nie daje, a potem do samego rana pluskwy...

— W takim razie kupić żonie łóżko!...

— Nie stać mnie na to!

— Lub wytępić robactwo!...

— Na to nie pozwolę, gdyż jestem członkiem Towarzystwa ochrony zwierząt z przekonania!... Mam zresztą już upatrzoną narzeczoną, która ma łóżko bez pluskiew!...

## Bajeczka.

Raz dziewczynka jedna mała,
Lejąc łzy przed bramą stała,
W tem przechodził pan niemłody,
Żal mu było jej urody.
Więc zapytał z grzeczną miną:
— Czego płaczesz ma dziecino?
Dziewcze mu żałośnie śpiewa:
— Bo się mama na mnie gniewa
I pierniczka mi nie dała.
Pan miał duszę litościwą,
Więc dorożkę wziął co żywo,
Łzy dziewczęcia starł, ukoił
I nakarmił i napoił.
Dziewcze ślicznie dziś wygląda,
Nic od mamy swej nie żąda,
Lecz od miejskich za to frantów
Miast pierniczka — chce brylantów.





### Przyjacielska rada.

Po pogrzebie pani Zofii, żony pana Karola, powrócił stroskany małżonek do mieszkania, a towarzyszył mu nie mniej, a może nawet więcej strapiony przyjaciel domu, p. Władysław.

Gdy znaleźli się w mieszkaniu, rzekł pan Karol złamanym głosem:

— Niema jej!...

— Tak!... Osierociła nas!... — powtórzył jak echo żałośnie pan Władysław.

— I pomyśleć, że człowiek będzie musiał pędzić życie w samotności, nie będzie do kogo się odezwać, przed kim się użalić, z kim popieścić!... — biadał w dalszym ciągu pan Karol.

— Masz racyę!... — dodał pan Władysław. — I ja odczuję te braki, więc podzielam twą żałość.. Ale jest na to rada!... Musimy się ożenić!... Weźmiesz sobie miłą, sympatyczną towarzyszkę życia i ona ci zastąpi panię Zofię, a i ja zapełnię w ten sposób tę próżnię, jaka się przedemną otwiera!...

### Smiertelny wróg.

Pan X., idąc ulicą z panem Y., spotyka doktora Z., z którym obaj żyli w zupełnej przyjaźni.

Y. wita lekarza, X. nie uchyliwszy kapelusza, idzie naprzód.

Y. spieszy za nim i pyta:

— Co się stało?... Z doktorem żyliście w takiej przyjaźni!

— Tak!... Żyliśmy, ale już między nami wszystko skończone na zawsze!

— Czy być może?... I o cóż wam poszło!

— Jakto... nie wiesz?... Moja teściowa zachorowała śmiertelnie na zapalenie płuc, ten człowiek, który udawał mego przyjaciela, wyobraź sobie, wykurował ją!... Od tego czasu nie chcę go znać!... A byłem już na wszystko przygotowany, tylko nie na to, aby ona miała wrócić do zdrowia!... Łotr!... Zdrajca!...

## Obraza honoru.

Szewc Kopytko, stolarz Świder,
Pokłócili się okrutnie.
Szewc stolarza, stolarz szewca
Raz po raz złem słowem utnie.
Wkrótce stolarz w srogim gniewie
(Choć spokojny wżdy był człekiem)
Nazwał szewca — austryakiem,
Szewc stolarza zaś — endekiem!..
Z tego był sąd polubowny
(Coś w tym guście jak tam w Mińsku)
Sąd ten orzekł, że obydwaj,
Przezywali się po świńsku.

### Marzenie kawalera.

— Nieraz, gdy człowiek siedzi sam, jak palec, w czterech ścianach swego kawalerskiego mieszkania, myśli sobie, jak dobrze i przyjemnie możnaby spędzić czas, gdyby się tak miało obok siebie parę ładnych, czarnych, damskich jedwabnych pończoszek, ale takich, wyżej kolan...

— I cóż przyszłoby ci ze samych pończoch?

— Ja też nie pragnę samych, ale razem z tem, co się w nich mieści!...

### Dziedziczność.

Fredzio! Co za szczęście!
No, cieszcie się cieszcie!
Choć był niemowlęciem
Przemówił nareszcie!
A jak się zdarzyła
Owa rzecz doniosła
Powiem: Jechał wózek
Ciągniony przez osła.
Fredzio, gdy go zoczył,
Do osła podlata,
Wyciąga rączęta,
Krzycząc: „Tata! tata!“



pani Ziuty, która była ponadto i zazdrosna i bynajmniej nie miała ochoty z nikim dzielić się prawami, jakie jej przysługują. Żądała też, aby pan Karol spędzał noc w jej pokoju, niestety, był on tak mały, że o zmieszczeniu drugiego łóżka mowy nawet nie było, a trudno chyba żądać od zmęczonego podróżą i powitaniem nie widzianej od dwu tygodni małżonki, aby się przedrzemał na krześle.

Wolnego pokoju w pensyonacie nie było, nocleg dla przygodnego gościa miano przygotować w czytelni, a obiecała się tem zająć Kasia, której także przypadł do gustu „taki grzeczny pan z miasta“.

Jako kobieta, ubolewała też nad nim, widząc, jak go żona maltretuje i jak on to znosi spokojnie i mimowoli porównywała z nim swego Wojtusia, który, choć dopiero narzeczony, więc żadnych specyalnych praw ani przywilejów nie mający, nieraz już groził jej... wybiciem zębów. Przeczuła zresztą, że on kocha lud i że można będzie odnieść z tego jakąś materyalną korzyść, a nasz ludek ma to do siebie, że lubi łączyć przyjemne z pożytecznem..

Późnym wieczorem przygotowała Kasia łoże dla pana Karola i to na najmiększej kanapce, tak, jak gdyby sama miała być w tem w jakiś sposób interesowaną. Pani Ziuta, której wąż zazdrości wśliznął się w serce, nie opuściła męża, dopóki się nie rozebrał i odeszła spokojnie dopiero wówczas, gdy usłyszała, że drzwi pokoju zamknął od wewnątrz na klucz. Ale widocznie nie zdawała sobie z tego sprawy, że przecież można łatwo znów się ubrać, a drzwi otworzyć z powrotem!

Co się działo w pensyonacie po jedenastej, tego nie wiemy. Ciemność panowała w całym gmachu (z oszczędności gaszono światła i na korytarzu...), pensyonaryusze spali zapewne snem sprawiedliwych.

Lecz nie wszyscy!... Były dwie osoby, którym sen powieki nie kleił. Jedną z nich była pani Ziuta, której nie pozwoliła zasnąć zazdrość i niepewność, drugą... Wojtuś. Temu odebrała sen także zazdrość i pewność, że Kasia go zdradza, widział bowiem na własne oczy, jak zniknęła przed chwilą za drzwiami... czytelni. Stał też przed niemi, łowił uchem każdy szmer, dochodzący z wewnątrz...

— A to choroba!... — mruczał do siebie. — Czekaj!... Już ja się z tobą rozprawię!...

Nagle posłyszał jakieś ciche kroki na korytarzu... Usunął się na bok, jednak dojrzało go bystre oko pani Ziuty.

Była to bowiem ona w swej własnej osobie... Coś jej wewnątrz mówiło, że tam dzieje się coś, co się dziać nie powinno, wstała zatem z łóżka, wdziała szlafrok i pantofle i podążyła ku improwizowanej sypialni małżonka...

— Wojtuś!... A ty tutaj co robisz?... — zapytała szeptem. — Pan pewnie już śpi?...

— Aha!... Ładnie śpi!... — odparł złamanym boleśnie głosem.

— Nie śpi?... A cóż robi?...

— Albo ja wiem!... Tam poszła przed kwandransem Kasia!...

Czarno zrobiło się jej przed oczyma, co było tem łatwiejsze, że w sieni było ciemno... Więc nie myliła się!... On ją zdradza... I to z kim?... Z prostą dziewką!... Ja, która mu oddałam niepodzielnie wszystko, co dla uczciwej kobiety jest najświętszem!...

Zrozpaczona miała już odejść, odkładając to na jutro, gdy wtem lepszy pomysł wpadł jej do głowy.

— Wojtuś!... Proszę cię, przynieś mi szklankę wody, ale świeżej!... Idę do siebie do pokoju!... Tobie się musiało tylko zdawać... Pan pewnie śpi...

Odeszła również cicho, jak nadeszła, za chwilę Wojtuś ze szklanką wody w ręku zniknął za drzwiami pokoju pani Ziuty...

I od tej chwili nastała w pensyonacie zupełna cisza, nie przerażając aż do samego świtu żadnym dysonansem...

Rano miała pani Ziuta podbite oczy, co świadczyło, że noc spędziła bezsennie, pan Karol był także jakiś zmęczony... Nie zwrócili jednak na to uwagi, unikali jakoś wzajemnie uwag na ten temat...

I Wojtuś był jakiś „zmięty“, co mu nie przeszkadzało, że gdy spotkał Kasię, wołał:

— Ty chorobo!... Już ja wiem!... Zęby ci wybiję!...

A ona, pokazując mu nowiuteńką pięćsetmarkówkę, odpowiedziała:

— To dla naszego wspólnego dobra!...

Spojrzał na nią z uczuciem, a nawet z miłością i na tem się skończyło!...





**On**: Jeżeli mnie naprawdę kochasz — daj dowód.

**Ona**: A więc dobrze!... Przyjmę tę kolię z perłami, którą chciałeś kupić twojej **żonie**!



**Pokojówka**: Pan porucznik się pyta czy pani przyjmuje?

**Pani**: To zależy co i od kogo.



**Szef**: Ja chciałem męskie koszule, a panna pokazujesz mi damskie pończochy!



**On**: Co za cudna noc!... W taką noc człowiek myśli...

**Ona**: Myśli nasze się zgadzają, chodźmy do **mego** buduaru



Gotowa do walki tem się różni od żołnierza, że przypuszcza atak po to, aby być zdobytą.



— A więc jutro czekam pana.
— Daruje pani, ale jutro mam zajęcie.
— Zajęcie?.. zapewne przez przyjaciółkę!...
— Nie! przez komornika!



— Nudzę się mój przyjacielu!
— To możeby zmiana miejsca...
— Ach nie! raczej zmiana towarzystwa...



**Wielbiciel**: Przy wolancie pierwszą rzeczą jest podbijanie w takcie.

**Dama**: O! w tem mam już wprawę, pierwszy mój narzeczony był oficerem.

# Ferdek Eleuteryk.



Jak kuždymu jest wiadomo, jedzynie, czyli fryganie, jest to bardzo brzydkie przyzwyczajenie z czasów jeszcze przedwojennych, od któregó nie mogliśmy się odzwyczaić i we wojnie. Zwłaszcza tak zwanymu jenteligentowi flakiem trzęsie, kantyna, dawniej taka okrągła jak nieprzymirzając bania na kościele świętygo Piotra, zapadła sie z kretesem, a portugalie, gdyby nie szelki, już dawno byłyby ogłosiły upadłość, nimające sie na czym utrzymać, co ze względu na odwrotną stronę medalu mogłoby być obrażającem obyczajność publiczną.

A że Polak kiej głodny, to zły, najspokojniejsze baranki zmieniły się we wilków, z którymi baby w chałupie nimogły se w nijaki sposób być rade dajęce. Majestrot, jako władza amunicyjno, robiuł, co móg, dawoł kartki na chlib, ale nie dawoł chleba, a żywot słodziuł nom melasą, z którýj nawet kunie parszywieją. To tyż w czasie wojny światowyj były czynste wojny domowe, z których głowa domu wychodziła najczynściej podrapana na cyferblacie lub z podbitem okiem, życząc tymu, kto brzany uczył w szkole robót ręcznych, aby z piekła nie wyjżroł.

Wielga radość zapanowała zatym w całym Krakowie od Psij górki począwszy, a na Olejandrach z byziem skończywszy, gdy nadeszła wiadomość, że jadą dla głodnych jenteligentów dary z Hameryki.

Wiadomość przyszła, ale darów jak nie widać, tak nie widać. Bez trzy misionce był se kuždy, kto sie za jenteligenta trzymo, apetyk robioncy i cięgiem powtarzający: jak nie dziś to jutro!... Ale tych jutrów było zadużo i bez ten czas dziewiećdziesiąt trzy jenteligenty skrepirowały z głodu, nie doczekawszy się rozdziału tych darów.

Ponieważ niżyj nie podpisany jest tyż głodny, a jako czytający pisane i durkowane do jenteligentów liczyć się mający prawo, czekoł tyż i powtarzał se: co mosz zjeść dzisiej, zjesz jutro, dziś byłoby klawiej, oby sie stało odwrotnie. A gdy to czekanie już mi sie sprzykrzyło, zawsze chodzić i niuchać, zwłaszcza miendzy majestrackimi urzyndnikami, na których wojny nie znać. Kuždy taki okrągluśki, jak nieprzymirzając dynia. Jeżeli kto, to oni bedą coś o tem wiedzący, jako że są bliżyj wielkigo ołtarza aprowizacyjnego stojący, a przysłowie uczy, że kto kościołowi służy, ten z kościoła żyje.

I dowiedział sie, że dary z Hameryki przyjechały, że się ich rozdziałem zajmowoł Puzapp i że je już rozdoł mindzy majestrackich urzyndników, którzy także bywają czasem głodni, a do jentelingencyji należą z urzyndu.

Jenteligentowi, który nie jest majestrackim urzyndnikiem, nie zostało nic innygo, jak się obeńść smakiem i oblizać. Ale może to i lepiej. Męczybuła z Wiślnej był w *Kuryjerku* ogłaszający, że w mące hamerykańskij jest magnezyo, a wiadomo, że to środek wybuchowy. A nuż nastąpiłaby eksplozyjo i rozerwałaby cielsko na drobne strzępy, tak, że nawet radca Wolny ni miołby co chować! Mnijszo przyjemność, gdy człowiek, objadłszy się chleba z takij strzylającyj mąki obudzi rano nieboszczykiem, rozerwanym na drobne cząstki... Na samo wspomnienie aż się słabo robi. Majestrot zatem ino z troskliwości o całość i zdrowie mieszkańców, nie był im darów tych rozdający. O swych urzyndników nie był sie bojący bo widzioł, że im i magnezyjo nie do rady.

Nie trza więc strzępić sobie jadaczkę na majestracie i Puzappie za ich dobre serce, ino chwalić, jak na to zasługują.

## Czerwone niebezpieczeństwo.

— I cóż ty na to czerwone niebezpieczeństwo, które nam grozi?

— Jakto... i tobie też?...

— Naturalnie!... Całej Polsce, więc i mnie!

— O jakiemże mówisz, bo doprawdy nie rozumiem cię!

— No, o bolszewikach!

— Tak?!... A ja zupełnie co innego miałem na myśli!... Mnie grozi zupełnie inne czerwone niebezpieczeństwo i to dlatego właśnie, że go już drugi miesiąc niema!...

## Strach ma wielkie oczy.

Było to w czasie ostatniej epidemii cholery, która nawiedziła zupełnie niepotrzebnie nasze miasto. Zarządzono wszystko co należy, aby przeszkodzić szerzeniu się zarazy, widząc zatem, że widzi się ją tu niezbyt chętnie, powróciła, skąd przyszła (*via* Brody!...)

W pewnej restauracyi siedział jegomość, który już po raz ósmy opuszczał ten lokal, kierując się ku wszystkim znanej ubikacyi, nie uwzględniającej dotąd równouprawnienia obu płci. A każdym razem kroki jego były drobniejsze, a ruchy niecierpliwsze... Ludzie są domyślni, orzeczono zatem, że choruje na cholerę i zawiadomiono o tem pogotowie choleryczne, które zjechało na miejsce z całym swym aparatem.

Dyżurny lekarz zbliżył się ostrożnie do zapowietrzonego, którego mu służba wskazała i pyta:

— Pan chory?...

— A któż to panu coś podobnego powiedział?... Jestem zdrów, jak ryba!...

— Ja radziłbym panu do szpitala to dobrze zrobi!...

— Ani mi się śni!... Choremu nie radzę szpitala, a cóż dopiero zdrowemu!... A mówię panu, że jestem zdrów!...

— Ale pan już ośm razy wychodził... tam!... — i wskazał ręką wiadomy kierunek.

— Tak!... To prawda!...

— Trzeba na to coś poradzić!...

— Na to niema innej, tylko niech ten, który tam siedzi, wylezie raz stamtąd... ósmy raz się dobijam, ósmy raz odpowiada mi: „Zaraz!...“

## W delikatny sposób.

Felkowi, który był murarzem i zajęty był właśnie przy budowie trzypiętrowej kamienicy, umarła matka. Trzeba go było o tem zawiadomić, a że był nerwowy i obawiano się, aby na tę wiadomość przykrą, nie spadł z rusztowania, posłano doń jego przyjaciela, Wicka, z poleceniem, aby się wywiązał z zadania w sposób delikatny...

— O!... Ja się już znam na tem!... — odpowiedział Wicek i pognał prędko do przyjaciela.

Stanąwszy przed rusztowaniem, woła:

— Felek!... Kochosz matkę?

— A kochom!... — odpowiada tamten z rusztowania.

— Mosz matkę?..

— A jakże mógłbym nie mieć!... Przecież mnie ciotka z litości nie porodziła!

— A guzik mosz, nie matkę!... — Felek na to. — Stara przed kwadransem wyciągnęła kopyta!...





## Kołysanka.

Śpij dzieweczko już!
Senne oczka zmruż!
Słyszysz: drynda jedzie tam,
W niej młodzieńcy obok dam.
Hukną korki od szampana,
Będą bawić się do rana!
Cóż w tem złego, cóż?
Śpij dziewczynko już!

Śpij dziewczynko już!
Rączki drobne złóż!
Tatuś powodzenie miał
I wyleciał z domu w cwał
W kabarecie śpiew i tany,
A więc wróci ululany,
Wniesie go na górę stróż
Śpij dziewczynko już!

## Osobiste świadczenia.

(Rozmowa kokotek).

— I cóż ty Zocha, dałaś co na potrzeby armii?

— Naturalnie!

— A ile?...

— Jakto, ile?... Ja jestem za świadczeniami osobistemi na rzecz armii, ale to się nie da obliczyć na gotówkę. Każdy daje, co ma do dania!... Ja byłam zawsze za świadczeniami dla wojska i wszystko mi jedno, czy to nasza armia, czy sprzymierzona... I tych i tamtych widzę chętnie u siebie!

## Dziedzic i Salomon.

Rano, jak zresztą prawie codziennie czynił, wpadł arendarz Salomon w odwiedziny do pana dziedzica, aby z nim pogadać o interesach ..

W toku rozmowy rzecze Salomon:

— Pan dziedzic dobrodziej to mi dziś całą noc chodził po głowie!...

A dziedzic na to z uśmiechem:

— To teraz dopiero wiem, dlaczego mam takie zabłocone buty!...

## Z za rogatek.

Muzyka grała,
Mańka skikała,
Z chęcią prawdziwą,
Piła poncz, piwo, —
Suknia od święta
Była pomięta.
Z licznej młodzieży,
Miała tancerzy,
A więc tańczyła,
Lub się kręciła,
Jak najweselej
Na karuzeli — —
Zerwał się w pędzie
Sznur — Co to będzie?
Wnet ją podnieśli,
Chłopcy od cieśli — —
Suknia od święta
I cnota.. zmięta!



## Z listów Hermogenesa Klapy.

Kochana Redakcyo!

Pan Cziczerin musi mieć chyba w swoim rodzie szewca, bo tak kręci, jak szpadała kopytem. Ani ja, ani Lloyd George nie możemy się na to zdecydować, co jemu się właściwie zachciewa. Lloyd George doszedł do przekonania, że prawdopodobnie odmieniła mu się natura i przypadkowo znalazł się w „takim stanie" i stąd te zachcianki.

Nie wiedząc, czy się wogóle odbędzie konferencya w Londynie, a jeśli się odbędzie, to kiedy, nie mogę rozpocząć wakacyi, bojąc się, aby bezemnie nie powzięto jakiej uchwały. Z tego powodu i Lloyd George nie wyjechał do Szwajcaryi, gdzie podobno zakupił na własność wielkie kopalnie prawdziwego „Ementalera".

Teraz to już widać taka moda, że mężowie stanu oprócz polityki zajmują się i różnymi geszeftami. I prezes międzynarodowej komisyi alianckiej na Sląsku, hr. Maneville, pamiętał też o sobie w czasie rządów w Cieszynie. Zakupił podobno wielkie kompleksy lasów, a jego żona założyła fabrykę kwargli z własnego mleka. Trocki i Lenin także postępują w podobny sposób, handlując na razie rosyjskimi klejnotami koronnymi. Ciekawy jestem, dlaczego ja, skoro robię w tem samem, co oni, to jest w polityce, miałbym postępować inaczej, niż oni?... Patrzyliby na mnie z podełba, bo, kto wlezie między wrony, niech kraka jak i one. Ja wprawdzie krakać nie umiem, ale na prowadzeniu interesów znam się bardzo dobrze i jeżeli dotąd nie zająłem się jakim niewinnym handlem, to tylko z powodu braku kapitału zakładowego. A „na gębę" nikt nie chce zacząć interesu, każdy powiada: „Nóżki na stół!..."

Ale mi jakiś tam handel łazi po głowie, gdy natomiast mam się zająć polityką, bo z tego człowiek przecież żyje...

Pan Millerand, uznając rząd jenerała Wrangla, jako jedynie uprawniony, narobił nam kłopotu, i ja i Lloyd George bowiem byliśmy już blizcy porozumienia z Krasinem i Kamieniewem, on w kwestyi angielskich interesów, ja w sprawie rozejmu i pokoju ze sowietami. Tymczasem wszystko od jednego machnięcia piórem w łeb wzięło. Koalicya gotowa się doczekać przedwczesnego rozwiązania, co mogłoby dać powód do wybuchu wojny w nowem wydaniu, na co godzą się bankierzy tak europejscy jak amerykańskie sfery finansowe, bo polityków dziś o zdanie nikt nie pyta. Interes to grunt!... W tej kwestyi zapytywałem telefonicznie o zdrowie i panią Hirschprungową w Krakowie, oświadczyła, że o żadnem „rozwiązaniu" słyszeć nie chce, ogłosiła bowiem neutralność i wiernie jej dochowa.

Gdyby to miała być wojna dajmy na to między Anglią i Ameryką, lub Ameryką a Japonią, na to zgodziłbym się i ja, ogłaszając swą neutralność w nadziei, że zrobię na niej dobry interes. Robiła Ameryka interesy na nas, teraz kolej, byśmy zaczęli robić na niej.

Ważniejsze przecież, który ze rządów ja mam uznać: Lenina, czy Wrangla?... Uznam pierwszy zadrę z Francyą, uznam drugi, kwita z mej przyjaźni z Lloydem George'm. Drapię się więc w głowę, w plecy i jeszcze niżej, ale ani rusz wpaść na właściwą drogę, która dziś na tem polega, aby z wszystkimi żyć w najlepszych stosunkach i równocześnie robić dla siebie najlepsze interesy. Tak postępowali dotąd Czesi, wyszli też na tem doskonale, gdy natomiast my możemy ua tem wyjść bardzo łatwo niczem może pan Zabłocki na mydle.

W pewnej chwili miałem zamiar wziąć rozbrat z polityką i zaciągnąć się w szeregi armii ochotniczej, przekonałem się przecież, że rzemiosło wojenne to nie mój fach. Zresztą choć jestem już poważnie w latach zaawansowany, do płci nadobnej czuję stale naturalny pociąg i to pospieszny (niestety, nie... pancerny!...), wolę więc pojawić się w szeregach ochotniczek, byłbym narażony na pokusy, fałszywe alarmy i t. p. A tego żołnierz powinien się strzedz.

Wobec tego dałem sobie spokój i nie wylażę z tej skorupy, w której mi stosunkowo dobrze i wygodnie.

Z największą przecież przyjemnością znalazłbym się dziś, ze względu na porę wakacyjną, gdzieś zdala od zgiełku światowego, w zacisznem ustroniu (lecz nie tem, którego drzwi opatrzone są dwoma zerami!...), gdzie *procul negotiis* mógłbym kąpać się w morzu, łowić śledzie, zbierać rydze, słowem, bodaj na jakiś czas zerwać z dotychczasowem życiem.

Uśmiechają mi się zwłaszcza rydze, miałem bowiem swojego czasu narzeczoną, której było na imię Jadwiga. Nie chodziliśmy wprawdzie razem na rydze, śpiewaliśmy natomiast stale „na cztery ręce" o owej Jadwidze, której raz coś się paskudnego miało wydarzyć, gdy się wybrała na rydze. Wątpię jednak, czy mógłby się znaleść wielki rydz, jak ten, o którym śpiewa piosenka. Widziałem już wielkie rydze, a największym z nich był Rydz-Śmigły. Z takim Rydzem to w samej rzeczy mogłaby Jadwiga mieć kłopot!

Z tegorocznych wakacyi będą, zdaje się nici, zwłaszcza, że *Kuryer* zapowiada rychłą jesień. Rada ambasadorów uchwaliła na ostatniem swem posiedzeniu w Paryżu, że tego roku będzie cały świat miał piękną, polską jesień, aby Polska znalazła bodaj w ten sposób rekompensatę za zawody i niepowodzenia. Lloyd George nie tylko, że się nie sprzeciwiał, ale obiecał nawet nadesłać nam na jesień w dowód stałej życzliwości, jaką dla nas żywi, nieco mgły londyńskiej.

Z Kamieniewem i Krasinem widziałem się w Londynie. Odbyliśmy wspólną z Lloyd George'm konferencyę, na której tenże zapewnił, że tak jak Cieszynem obdzielił Polskę i Czechy, aby żadne z tych państw nie mogło narzekać, że puszczono je z kwitkiem, tak też i polskiem terytoryum zaopatrzy Niemców, Moskali i Ukraińców, a i dla Polaków coś jeszcze zostanie. Nie dużo, to prawda, ale może to i lepiej, bo, im mniejszy obszar, tem mniej zarząd jego kosztuje, a my jesteśmy przecież w krytycznem położeniu finansowem. Bez morza możemy się obejść tak, jak Szwajcarya. Nie ma ona korytarza, wiodącego do morza, a przecież jej franki stoją o tyle wyżej od naszych marek!..

Radził Lloyd George, bym nie tracił nadziei, że jeszcze będzie lepiej, jeśli nie zaraz teraz, to zaraz potem. I ja życzę Redakcyi i P. T. Czytelnikom, aby byli przy nadziei.

Cierpliwości zatem, a nadzieje się spełnią, jeśli zaś stałoby się inaczej, to nie moja wina.

*Au revoir!*

*Klapo.*





### Przestroga!

**Oto Stasiu w czysty zeszyt**
**Upuściłeś żyda —**
**Więc go skrobię, ale pomnij:**
**Niech się rada przyda...**
**Gdy czyściutką hipotekę**
**Odda ojciec tobie,**
**Strzeż się żyda, bo gdy padnie**
**Nic go nie wyskrobie!**

## NADESŁANE.



Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Kramiowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Stefana Kraczmarskiego.



— Macie moje panie wspaniałe kostyumy kąpielowe! Ale zdaje mi się, że już je widziałem.
— A tak! Są to suknie balowe z ostatniego karnawału.